

Mistrzynie

powieść dla kobiet szukających inspiracji

Napisała:

MAŁGORZATA

SZAFRAŃSKA

Copyright © 2019 Małgorzata Szafrńska
Wszystkie prawa zastrzeżone.
Wydawnictwo MGS

Cover photo by Pooky's World
Copyright © 2019 Paulina Poprawska
Wydanie II poprawione

Kontakt i zamówienia:
dziennikkobiety@gmail.com
Adres www.wmatnikobiecosci.blogspot.com

ISBN: 978-83-938277-2-5

DEDYKACJA

DLA MOJEJ CÓRKI,
KTÓRA SWOIM ISTNIENIEM JEST DLA MNIE
INSPIRACJĄ,
BYM BYŁA NAJLEPSZĄ WERSJĄ SIEBIE

WSTĘP

Nie pamiętam już czasu, kiedy w mojej głowie nie powstawały historie. Kiedyś były przeciwko mnie. Odwracały moją uwagę od tu i teraz. Dziś są częścią mnie i mojego tu i teraz.

Kiedy w czerwcu 2017 roku, zamieściłam pierwszy odcinek tej powieści na świeżutkim blogu, który nazwałam *W matni kobiecości*, byłam pełna obaw. Bałam się krytyki. Bałam się bycia źle zrozumianą. A najbardziej bałam się, że ktoś mi powie - Za kogo ty się uważasz, by radzić nam, jak mamy żyć?!

Od tego czasu minęły dwa lata, a ja dalej czasem się boję. Ale zrozumiałam, że ja nikomu nie mówię, jak ma żyć. Miałam dwa cele publikując pierwsze odcinki Mistrzyni. Pierwszy, pisać tak, by zachęcić każdą kobietę do czytania. Nawet tę, która nie ma kiedy, tę, która nigdy nie czyta, i tę, która tego nie lubi. Drugi, by wzniecić w kobietach tę małą iskierkę inspiracji, tak niezbędną, byśmy wreszcie zdały sobie sprawę z naszej siły, wartości i niepowtarzalności.

Ta historia nie wydarzyła się naprawdę. Ale emocje, przeżycia i odczucia są jak najbardziej realne. Szukaj między linijkami mojego przekazu. Bardzo dużo czasu zajęło mi nauczenie się tego, czym dziś dzielę się z Tobą. Czytając pamiętaj o jednym. Ty też jesteś Mistrzynią. Mistrzynią Własnego Życia.

1. WSTYD

"Give me a reason to be, a woman..."¹ słyszę dźwięki ukochanej piosenki, które przenikają całą moją przestrzeń myślową. Krzątam się po kuchni, jak nie ja, nie mogę nic znaleźć, wszystko wypada mi z rąk. Zaraz obudzę Hanię tymi hałasami, albo co najmniej ruszę Karola sprzed telewizora. Muzyka płynąca ze słuchawek zagłusza moje niezdarne ruchy, nie jest jednak w stanie zagłuszyć myśli, niezależnie od tego, jak głośno będę jej słuchać.

Wszystko dziś poszło nie tak. To jeden z tych dni, kiedy mój humorek z godziny na godzinę stawał się coraz bardziej humorzasty. Na koniec każdego z tych dni, czuję tylko jedno. Wstyd.

Pomimo ślicznej, chabrowej sukienki, nie czułam się dziś dobrze ubrana. Na każdym kroku porównywałam się z otaczającymi mnie kobietami. Nie ten kolor rajstop. Może nie te buty? Włosy w kompletnym nieładzie. Czemu choć raz nie mogę stanąć przed lustrem i stwierdzić *Jesteś piękna*?

Na tym lista katastrof się nie kończy. Waga co tydzień mnie oszukuje dodając mi zbędnych kilogramów, ale ja tak profilaktycznie ciągle sobie obiecuję, że będę uważać na to, co jem. Wiem, że kiedyś przyjdzie ten dzień, że zabiorę się za siebie i pozostanę wierna moim wszystkim postanowieniom. Choć bardzo się staram, często ulegam. A każde ciasteczko, kawałek serniczka, rogalik z dżemem, czy lody z bitą

¹ Portishead, *Glory Box*, z płyty *Dummy*

śmietaną, kończą się tym samym. Niskim poczuciem własnej wartości. Wstydem, że znów to sobie zrobiłam. Żalem, że jestem zbyt słaba, by po prostu powiedzieć nie.

W poniedziałki mam zawsze najwięcej pracy ze względu na harmonogram, jaki z Karolem sobie ustaliliśmy. Często zdarza mi się wracać do domu po dwunastu, trzynastu godzinach. Są dni, kiedy wracam i czeka na mnie kolacja, uśmiechnięty, choć może trochę wykończony mąż oraz umyte i ubrane w piżamkę dziecko. Hania często wita mnie wtedy z otwartymi ramionami, uśmiechem od ucha do ucha i czeka grzecznie, aż zdejmę buty, utulę ją i przeczytam jej książeczkę, żeby mogła spokojnie spać, śniąc o tym, jak piękny jest świat wyobraźni. Dziś nie jest ten dzień.

- Kiedy zamierzasz przyjechać do domu? - słyszę, kiedy odbieram telefon od mojego męża w trakcie spotkania z kontrahentem, będąc pewną, że to sytuacja awaryjna i na pewno dzieje się coś złego. Oczywiście Karol tak krzyczy, że nie tylko ja go słyszę.
- Jeszcze jestem w pracy, myślę że za godzinę powinnam być. A co się dzieje? - pytam, starając się zachować spokój i łagodny ton, pomimo fali negatywnych uczuć, która właśnie mnie zalewa.
- Nie, nic się nie dzieje - krzyczy naburmuszonym głosem, po czym słyszę charakterystyczne klik i ciszę w słuchawce.

Przez kolejne piętnaście minut po tym telefonie, jedyne, na czym mogłam się skupić, to dźwięk głosu Karola, odbijający się echem w mojej głowie i myśli mężczyzny, siedzącego naprzeciwko mnie.

Chłop w domu z dzieckiem a baba w pracy? Coś nie tak jest z nim, czy z nią? To nie jest profesjonalistka.

I znów wyrzuty sumienia i wstyd za siebie samą. Przed sobą samą i przed całym światem. Jestem złą matką, żoną, przedsiębiorcą i generalnie jako człowiek się nie sprawdzam. W niczym nie jestem dobra. Nic nie robię tak, jak powinnam. Wszyscy są lepsi ode mnie.

Piosenka się kończy a ja, ze ścierką w ręku, wpatruję się w widok za oknem. Jest spokojny, jesienny wieczór. Ja i moje uczucia znikamy na chwilę. Rozpływamy się w mroku za oknem.

Nie jestem typem, który narzeka i marudzi. Po prostu chcę być perfekcyjna, choć wiem, że to niemożliwe. Sama siebie skazuję na wyrok. Wiem, że jutro znów wstanie słońce, że Ziemia dalej będzie się

kręcić wokół niego, a ja dalej będę sobą. Nie chcę, by cały świat mi klaskał, nie robię niczego dla uznania czy słów wdzięczności. Ale jestem surowym sędzią, który wydaje się nie mieć ani litości, ani za grosz współczucia czy empatii.

Powłóczę nogami, idę do łazienki. W pośpiechu zmywam makijaż, myję zęby i ubieram wygodną, porozciąganą koszulę. Karol już leży w łóżku udając, że śpi. Ja też więc udaję, że nie widzę jego otwartych oczu i kładę się koło niego, przytulając z całych sił do siebie koldrę. Zasypiam szybko, wykończona bardziej nie swoim dniem, ale uczuciami, które duszą mnie od środka.

Współczesne czasy, to okres, kiedy od nowa definiujemy, co to znaczy być kobietą. W tej naszej pogoni za równymi prawami i solennym postanowieniem, że udowodnimy, iż jesteśmy tak silne i odważne jak mężczyźni, zatraciliśmy sens bycia sobą i zapominamy, o co w tym wszystkim chodzi. Co nadaje życiu sens? Czego tak naprawdę pragniemy?

A odpowiedź jest prosta i od wieków taka sama - to wiąż z ludźmi i ze światem, który nas otacza. Chcemy być powiązane z kimś, chcemy czuć, że gdzieś przynależymy, że mamy swoje miejsce na ziemi. Chcemy być szczęśliwe i spełnione. Ale jak to zrobić? Na pewno nie przez dążenie do perfekcji, unikanie błędów czy wypieranie się wszelkich słabości.

Brené Brown, badaczka ludzkich historii, w 2010 roku wygłosiła wykład na temat ludzkich relacji i tego, co czyni nas szczęśliwymi. Jej słowa przeniosły mój świat do góry nogami. Brown, badając historie z życia wzięte, po wielu latach analizy i przejściu załamania nerwowego doszła do wniosku, że wstyd i strach przed samotnością to uczucia, które nie pozwalają nam być szczęśliwymi. Boimy się otworzyć. Przeraża nas wrażliwość i pokazanie tego, co mamy w sobie. Wstydzimy się naszych „słabych stron”, choć osobiście nie wierzę w ich istnienie. Budujemy wokół ściany i za wszelką cenę ich bronimy. Popadamy w paradoks robiąc coś, co uniemożliwia nam to, czego najbardziej pragniemy. Dążąc do perfekcji, niszczymy siebie i tą więź, która łączy nas z otaczającym światem.

Czemu lęzy, poplamiona sukienka, czy nieład w mieszkaniu mają świadczyć o tym, jaką kobietą jesteś? Czy przyznanie się do tego, że czegoś nie potrafisz bądź nie rozumiesz, to naprawdę katastrofa porównywalna z końcem świata? Według Brown, ludzie, którzy potrafią się otworzyć i nie boją się pokazać tego, iż mają swoje słabości, że są tylko, a może i aż ludźmi, że popełniają błędy, ci ludzie są szczęśliwsi, czują, że są częścią tego świata, swojego otoczenia, ludzi którzy go

wypełniają.

Bądźmy więc odważne, nie doskonałe. Bądźmy kobiece, nie męskie. Bądźmy sobą i przestańmy się nakręcać próbując sprostać cudzym oczekiwaniom, które są często wytworem naszej chorej wyobraźni.

2 ZDRADA

Dla Karola byłam pierwszą dziewczyną. Pierwszą i ostatnią. Wszystkie jego wcześniejsze kontakty z kobietami to były przelotne miłości. Poznaliśmy się w szkolnej bibliotece. On miał wtedy 18 lat, ja 21. Praktykantka i maturzystka. Omotał mnie swoją charyzmą, usidlił zmysły dotykiem i zauroczył wdziękiem. Jego wyjątkowe poczucie humoru i zabójczy uśmiech pokochałam jednak najbardziej. Zaraz po maturze oświadczył się. Miał pomysł na biznes, ja pomogłam mu wszystko zorganizować. Został przedsiębiorcą, architekturę kończył zaocznie. Ja, po roku pracy w korporacji, też założyłam własny interes. Nie czułam się dobrze w rzeszy powielonych osobowości, gdzie każdy przeblask inności i indywidualności gasi się wiaderkiem zimnej wody. Rok później byliśmy już po ślubie. W podróż poślubną poleciliśmy do Londynu. Moje zamiłowanie do brytyjskiej literatury, a jego do architektury, nie pozwoliło nam się nudzić. Byliśmy wyjątkową parą, ale zawsze bałam się, że kiedyś przestanę być dla niego taka wyjątkowa.

Od samego początku bardzo dobrze nam się układało w łóżku, byliśmy bardzo kompatybilni. Jednak odkąd zaszłam w ciążę i na świecie pojawiła się Hania, nie mogłam w sobie odnaleźć tego czegoś. Nic nie było w stanie mnie podniecić. Stałam się aseksualna. Staralam się udawać, ale nie wychodziło mi to za dobrze. Karol stwierdził, że zrobiłam się oziębła, obwiniał siebie. A ja do dziś nie wiem, co wywołało zmianę. Nie było to tylko pojawienie się Hani na świecie. Jeszcze zanim dowiedziałam się, że jestem w ciąży, straciłam tak na

prawdę apetyt na seks. Erotyzm stał się dla mnie tylko spoconą płataniną ciał, której nie potrzebowałam. Byłam wtedy pewna, że za tym, co czuję, kryje się jakiś powód, jednak nie drażyłam tematu. Nie chciałam wracać do tego, co było, do swojej burzliwej przeszłości.

Kiedy Hania miała trzy lata, Karol zorganizował z kumplami z firmy wyjazd na mecz do Francji. Nie było go dwie noce. Dwie noce spędziłam sama, śpiąc spokojnie w swoim łóżku. On dwie noce spędził rozmyślając, jak mi się przyznać, że zdradził mnie z jakąś Francuzką, którą poznał w trakcie meczu. Powiedział mi o tym zaraz po powrocie, nie wiedząc, jak do tego doszło. Ból w jego oczach był tak szczery, że było mi go żal.

- Jak mecz? Widziałam skrót w telewizji. Lillie dało im się nieźle we znaki. Szczerze powiedziawszy nie wiem czy zasłużyli na remis. Jak myślisz? - mówię, pomagając Karolowi rozpakować się. Hania pochrapuje u siebie. Za oknami ciemno, ponuro i mroźnie - Karol, coś taki cichy? - wołam głośniejszym głosem, by zwrócić jego uwagę. Stoi i wpatruje się we mnie swoimi wielkimi, piwnymi oczami. Minę ma nieciekawą, jakby miał zaraz zemdleć albo puścić pawia - Dobrze się czujesz?
- Muszę ci coś powiedzieć - mówi wolno, spokojnie, ale z napięciem w głosie. Nie patrzy mi w oczy. Jego wzrok jest skierowany na mnie ale gdzieś rozplywa się po drodze.
- Co się stało? - pytam przerażona widząc, że to coś naprawdę katastrofalnego. Karol nie jest typem do poważnych rozmów i psychoanalizy. Od razu przychodzi mi do głowy, że pewnie jest chory. Bardzo chory. Czekam cierpliwie aż się odezwie, a niepewność zaczyna mnie zżerać od środka - Karol, cholera jasna, powiedz to wreszcie!
- Przepraszam, ja tak bardzo cię przepraszam... - płacze wpadając trochę niezdarnie w moje ramiona. Nie mogę utrzymać równowagi, opadam na wykładzinę, a on ze mną. Widząc łzy w jego oczach, czuję moje własne, wielkie i soczyste pod powiekami - Musisz mi wybaczyć, Gosia, proszę, powiedz, że mi wybaczysz!

Nic nie mówię. Nie wiem, jak mam się odezwać. Nie wiem, co mam powiedzieć. Nie mogę się ruszyć, nie czuję swojego ciała. Nie czuję nic, jakby ktoś mi zamroził serce. Jego słowa, łzy i to, co one oznaczają,

powoli wnikają we mnie, w moją skórę i zaczynam czuć palące ciepło. Prawie słyszę syczenie w uszach, jak lód, na który wylewa się wrzątek. Wiem już, dlaczego płaczę. Nie musi mówić tego na głos. Nie chcę, żeby to robił. Zaczyna lkać, a ja wraz z nim. Topimy się, trzymając się w ramionach, bojąc się puścić. Obawiając się tego, co będzie, gdy w końcu to zrobimy.

Nie wybaczyłam mu od razu, jednak wróciliśmy do życia, jakby nic się nie stało, już od następnego poranka. Coś się jednak między nami zepsuło i zaczęłam obsesyjnie interesować się tematem zdrady. Gdy trafiłam na wykład Esther Perel, która tak pięknie mówiła o tym, dlaczego uciekamy się do zdrady, zrozumiałam wiele rzeczy. Myślę, że był łatwą zdobyczą. Nie był doceniany przeze mnie. Nie w kontekście ojca czy mężczyzny, ale właśnie niedoceniany jako kochanek. Wystarczyła iskierka. Odepchnęłam go. Nie pozwalałam się do siebie zbliżyć. Nie czyni go to wolnym od winy. Sprawił mi ogromny ból, zburzył mój światopogląd i pozorny spokój. Godzinami wyobrażałam sobie, jak posuwa tę Francuzkę.

Kiedy myśli zatruły mnie do granic wytrzymałości, podczas kolejnej z nieprzespanych nocy Karol, wiercąc się w łóżku, objął mnie nagle swoim ramieniem, poczułam to ciepło co kiedyś. Pierwszy raz od tygodni czułam ulgę dzięki jego dotykowi. Zrozumiałam, że nasz związek się zakończył. To, co było, już nie wróci. Nie damy rady tego naprawić. Ale możemy zacząć od nowa. I zaczęliśmy. Nie wyobrażałam sobie życia bez niego. Byliśmy i dalej jesteśmy świetnymi partnerami. Uzupełniamy się, dogadujemy, dbamy o siebie. Nigdy nie chciałam nikogo innego. On też nie. Dałam mu furtkę wyjścia. Mógł odejść bez żadnych konsekwencji. Błagał, bym dała mu drugą szansę. Wydawało mi się, że się nam udało. Dopóki nie zjawiał się On.

Odkąd w moim życiu pojawił się Karol, myślałam, że żaden mężczyzna już się dla mnie nie będzie liczył. Śmiałam się mówiąc, że z jednym jest dość kłopotów. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, że jestem w innych ramionach, że dotykają mnie inne dłonie, patrzą na mnie inne oczy.

Czy to, co się stało, stało się dlatego, że mnie zdradził? Czy czułam gdzieś w podświadomości, że muszę mu się odwdziżyć tym samym?! Nie potrafię odpowiedzieć sobie na to pytanie, ale choć z jednej strony jestem przerażona, to z drugiej czuję podniecenie, którego w życiu

jeszcze nie czułam. Co przyniesie przyszłość? Kolejną porażkę, czy może jednak coś dobrego, co sprawi, że moje życie stanie się pełniejsze? Czas pokaże, jakie okażą się moje decyzje.

W każdym związku są wzloty i upadki. Początki, jak to wszyscy określają, to motyle w brzuchu, wieczna potrzeba bycia ze sobą, dotykania się. Nigdy nie macie się dosyć. Wszystko się zmienia, kiedy życie puka do drzwi. Poziom hormonów opada, pożądanie gaśnie. I zostaje ... co? Rutyna? Nieee... zostajemy my, dalej ci sami. Błąd, który popełniamy, to brak zaangażowania i pasji w naszym życiu. Problemy codzienności rządzą nami i naszym światem. Pozwalamy im dyktować warunki. Częściej myślimy o tym, czego nam brak, niż o tym, co mamy na wyciągnięcie ręki. Ludzi, którzy nas otaczają, bierzemy za pewniak.

Niektórzy, jak na przykład Sylwester Stalone, twierdzą, że jeśli nad związkiem trzeba pracować, to znaczy, że nie jesteśmy z właściwą osobą. Nie powinniśmy się zmieniać tylko po to, by partner widział nas jako bardziej interesujące, ciekawsze. Nie powinniśmy zmieniać naszych nawyków tylko dlatego, że druga połówka ich nie lubi czy nie toleruje.

Inni twierdzą, że związek to sztuka kompromisów i ciągłej pracy nad sobą i związkiem. By być z jedną osobą w stałym związku do końca życia, trzeba czasem się poświęcić dla dobra sprawy.

Ale z tym poświęceniem, to bym się nie zgodziła. Jacek Walkiewicz opowiadał o różnicy między poświęceniem a zaangażowaniem. Mamy na przykład dobrą jajecznicę na boczku. Mało fit, za to jaka pychota. I żeby ta jajecznicą powstała, kura musiała się zaangażować, by znieść jajko, a świnia musiała się poświęcić, byśmy mogli ją zjeść. Widzicie różnice?

Uważam, że tego na co dzień nam brakuje. Zamiast czytać Cosmopolitan, powinniśmy zatrzymać się na moment, wziąć głęboki wdech i spojrzeć na swoje życie i ludzi w nim z perspektywy. Wszystko, co robimy, powinniśmy robić z zaangażowaniem i pasją, bo mamy ogromne szczęście, że żyjemy, jesteśmy tu i możemy kochać siebie i innych. Bądźmy wdzięczne, nie próżne. Bądźmy zaangażowane a nie poświęcajmy się. Kochajmy i dajmy się kochać.

3 RYZYKO

Jak zwykle w pośpiechu wbiegam po schodach, żeby nie spóźnić się na spotkanie z potencjalnym klientem. To duża firma, gruba szysza w okolicy. Gdyby udało mi się podpisać z nim kontrakt, miałabym zapewnioną płynność finansową na następne pół roku i może mogłabym więcej zainwestować w rozwój firmy.

Jest 11:59 kiedy pukam do ciemnobrązowych drzwi na najwyższej kondygnacji tego eleganckiego biurowca. Lekko podenerwowana ale dobrze przygotowana. Czekam, aż drzwi się otworzą. Wiem, co mam robić. Dokładnie znam profil działalności firmy „Perspektywa”. Opracowałam też wstępną ofertę marketingową. Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, pokażę również moje pomysły na kampanię reklamową, nad którą pracowałam ostatnie trzy noce. Bardzo mi zależy na podpisaniu tego kontraktu.

Nie widzieliśmy się jeszcze osobiście, wszystko ustalaliśmy telefonicznie. Miałam jakieś wyobrażenie tego tajemniczego faceta, który, jak wywnioskowałam z opowieści, jakie krążą o nim w mieście, zdaje się mieć cały świat w dupie. Ale to, co zastałam na miejscu, przerosło moje oczekiwania. W mojej głowie wyglądał jak gangster z włoskiej mafii. Wielki chłop z mieszanką mięśni i tłuszczu, najpewniej w drogim garniaku i świecących lakierkach. Jakież było moje zdziwienie, kiedy drzwi otworzył mi idealnie wyrzeźbiony, przystojny, wysoki facet z oczami niczym błękitne tafle zamrożonego jeziora.

- A, to Pani - mówi od niechcienia leniwym, aczkolwiek męskim tonem,

kierując się od razu w stronę swojego biurka.

- Dzień dobry, Małgorzata Szafrńska. Rozmawialiśmy przez telefon - przedstawiam się oficjalnie, niepewnie ruszając za nim w głąb tego przestronnego pomieszczenia.

Biel aż razi w oczy. Wszędzie jest tak czysto, elegancko i gustownie. Wysokie do sufitu okna otaczają mnie ze wszystkich stron a widok przez nie jest niesamowity. Pożółkniełe już topole kołyszą się w swym pełnym gracji tańcu a słońce jeszcze odważnie grzeje, przedzierając się przez nieliczne chmury.

- Niech Pani siada - mówi do mnie wskazując krzesło naprzeciwko obszernego biurka w kształcie litery L, za którym sam siada wygodnie. Ma na sobie zieloną bluzę z kapturem, jasny T-shirt, spod którego wychodzą nieliczne, ciemne włosy, obcisłe, markowe dżinsy, białe skarpetki i ... niebiesko-białe tenisówki. Na mistera Polski może i nie pójdzie, ale jest w nim coś, co mnie onieśmiela i intryguje. Ja natomiast nie zrobiłam na nim pozytywnego wrażenia. Raczej zdaje się mną poirytowany niż zainteresowany.

Siadam niezdarnie w fotelu i wyciągam swoje materiały. iPad, teczka, wyciszony telefon. Kiedy jestem gotowa, podnoszę wzrok z nad moich fantów i momentalnie prawie zapominam, że mam język w gębie. Damian Czajkowski patrzy beczelnie wprost na mnie tymi swoimi błękitnym oczami. Dłonie ma splecione na brzuchu a nogi szeroko rozłożone pod stołem. Czeką wyraźnie na mój ruch. A ja tonę w jego oczach.

- Nie sprecyzował Pan dokładnie ani budżetu, ani też swoich oczekiwań. Dokładnie zapoznałam się z materiałami dostępnymi na temat firmy i z tym, co sam mi Pan podesłał i przygotowałam wstępną ofertę. Czy mam zacząć, czy może chce Pan jeszcze poczekać na kogoś - mówię, starając się jak tylko mogę nie dać opanować się zwątpieniu, które próbuje się przedrzeć przez pancerz mojej wątpliwej pewności siebie. Już wyobrażam sobie, jakie zwątpienie by zasiało we mnie ziarna. Za wysoko mierzę. Za duży klient jak na moje możliwości. Nie ta liga.
- Może Pani nawijać, na nikogo nie czekamy - odpowiada dalej, patrząc wprost na mnie. Jestem trochę zdziwiona jego odpowiedzią. Oczekiwałam całego sztabu ludzi. A tu jest tylko on. Jedno biurko i

tona segregatorów równiutko poukładanych na półkach Komandora. Czyżby sam wszystkim się zajmował?

Nie owijając w bawełnę, zaczynam swoją litanie. Szczegółowo, jednak na tyle zwięźle, na ile się da. Omawiam wszystko to, co wymaga omówienia. Nie unikam jego wzroku, nie mogę okazać słabości ani tego, jak niepewnie się czuję w jego towarzystwie. Siedemnaście minut później siadam wygodniej na krześle. Skończyłam.

- Ok, gdzie mam podpisać? - pyta, bez wyraźnego entuzjazmu.
- Tutaj - pokazuję wykropkowane miejsce na umowie, którą właśnie omówiłam. Jestem w szoku, że chce podpisać ją od razu, zwłaszcza biorąc pod uwagę jego brak entuzjazmu. Uśmiecham się delikatnie, ale w sercu czuję pożar. Udało mi się!

Gdy wychodzę z jego biura, oddycham z ulgą. Współpraca z nim będzie nie lada wyzwaniem i czuję lekką ekscytację na myśl o tym, jak dużo czasu będziemy spędzać razem. Nie tylko ekscytację. Trochę się obawiam tych spędzonych z nim, sam na sam godzin, w tym powalającym biurze, z jego przeszywającym spojrzeniem i tendencją do patrzenia mi prosto w oczy.

Wiele o nim słyszałam. Choć nie lubię plotek i nic sobie z nich nie robię, ciężko je całkiem zignorować. Czajkowski jest mężem przyjaciółki mojej ostatniej klientki. Niezły z niego typek. Bezczelny, wulgarny, zbyt pewny siebie, nadziany i zaangażowany w niejeden ciemny interes. Ma rodzinę, piękny dom, samochody. A ja mam mu pomóc rozslawić jego nowy biznes. Buduje domy w różnych częściach Polski. Zazwyczaj są to ekstremalne miejsca, wyjątkowe, pełne powalających widoków. Teraz będzie je wynajmował w ramach wypadów wakacyjnych, wyjazdów zorganizowanych i wycieczek dla firm. Chce te miejsca również wypromować za granicą. To daje mi pole do popisu.

Postanawiam podejść do sprawy wyjątkowo profesjonalnie. To dla mnie życiowa szansa. Nie mam już szesnastu lat, żeby dać się onieśmielać. Będę z nim pracować przez następne sześć miesięcy, ale dam sobie radę. Jak nie ja, to kto!?

Strach jest częścią naszego życia, ale nie powinien być paraliżujący. Każdego dnia musimy wstawać z uśmiechem na ustach i cieszyć się na wyzwanie, jakim jest

kolejny dzień. Często jednak przez strach rezygnujemy z wielu rzeczy. Odpuszczamy sobie. Stwierdzamy, że ryzyko jest zbyt duże.

Ale strach powinien być naszym sprzymierzeńcem. Nie jest on oznaką ludzi słabych, bo tylko głupi się nie boją. To tylko żółta lampka ostrzegawcza, którą czasami po prostu trzeba zignorować.

Dla niektórych strach jest paraliżujący. Boją się przede wszystkim odrzucenia. Boją się porażki. Bo te przytrafiają się każdemu. Jednak nie ryzykując, zawsze będziemy w swojej bezpiecznej strefie i nasze życie będzie nijakie.

Moim mottem już jakiś czas temu stało się powiedzenie, które jest też tytułem książki Richarda Bransona, założyciela firmy Virgin - „Screw it, let's do it!” co w przekładzie najlepiej przetłumaczyć - pieprzyć wszystko, zrobię to - jednak oficjalne tłumaczenie jego książki to „Zaryzykuj - zrób to”. Branson nazywany przez swoich znajomych i pracowników Doktorem Yes, jest osobą, która mając przed oczami cel, dąży do niego, po kolei eliminując przeszkody. I choć teraz jest miliarderem, to droga do sukcesu nie była dla niego ustana różami. Na jego przykładzie widać, jak ważne jest otaczać się odpowiednimi osobami, które będą ci mówić - You can do it. Dasz radę! Tak jak powtarzali Bransonowi jego rodzice.

Otaczanie się odpowiednimi ludźmi ważne jest nie tylko w interesach ale i w spełnianiu marzeń i siebie. Jacek Walkiewicz, jak opowiada o swoim marzeniu - o Kamperze- mówi wyraźnie. Zeby nie jego żona, nigdy by tego marzenia nie spełnił. To ona pomogła mu zrobić ten ostatni i najważniejszy krok, mówiąc „Zrób to, bo to twoje marzenie, a marzenia są po to, by je realizować”.

Jacek Walkiewicz mówi również o zmianie własnego języka, jakiego używamy. Nie powinniśmy mówić UDAŁO SIĘ ... tylko ZROBIŁAM TO. Bo w życiu ludziom nic się nigdy nie udaje. To, że ktoś odnosi sukces, to zasługa często wielu lat pracy, przemyśleń, starań. A kiedy mówimy udało się, to tak, jakbyśmy oddawali zasługę szczęściu, albo losowi.

Bądźmy dumni ze swoich sukcesów, tych małych i tych dużych. Nie pozwólmy, by strach nas paraliżował. By odbierał nam szansę na życie pełne przygód i wyzwań. By odbierał nam szansę na szczęście. Podejmujemy ryzyko. Inwestujemy w siebie i w przyszłość. Otaczajmy się ludźmi, którzy nas popchną do przodu, a nie ściągną w dół.

Często ci się wydaje, że jeszcze chwila a się rozypiesz? Mam trzydzieści parę lat a czasami czuję się, jakbym tylko udawała dorosłą. Taka zabawa w dom i życie na niby. Wewnątrz dalej coś we mnie nie dojrzało. Może właśnie dlatego ta zabawa mnie tak pochłoneła. Wzięłam na siebie zbyt wiele, chcąc udowodnić, że tak, ja już jestem duża! Ja mogę wszystko już zrobić sama, nikt mi nie musi pomagać! Problem

pojawia się, gdy doba ma dalej dwadzieścia cztery godziny, a ja mam zajęć na trzydzieści sześć. Rzeczywistość mnie przerasta. Chcę dać z siebie wszystko, być najlepszą wersją siebie. W domu, w pracy, w życiu. Chcę wszystkich uszczęśliwić. Być idealną matką, przedsiębiorcą, córką, synową, kochanką, koleżanką. To tak, jakbym próbowała przeskoczyć przez poprzeczkę, którą sama powiesiłam wysoko nad głową. Ja nainnie wierzę, że dam radę. Kombinuję, wymyślam, przekładam. Podstawiam sobie kartonowe pudła, wznoszę się wyżej i wyżej. Cała ta konstrukcja chwieje się już pod moim ciężarem, a do poprzeczki jeszcze daleko. Nawet jak dam radę ją kiedyś przeskoczyć, to czeka mnie upadek z wysokości. Kiedyś spadnę, ale jeszcze nie dziś. A może nie...

Z czego bierze się dążenie do perfekcji i branie na siebie więcej niż powinnyśmy? Niestety, cały czas walczymy ze stereotypami i z tym, jak zostaliśmy wychowane, z tym, jaki obraz kobiety nam wpajano. A jak mówi Reshma Saujani, powinnyśmy uczyć nasze córki odwagi a nie perfekcji. Powinnyśmy przestać mówić naszym córkom- Uważaj, Nie rób, Nie próbuj, Ostrożnie. Od synów oczekujemy więcej, a kiedy skaczą, nie zastanawiamy się, ile nabiją sobie siniaków i jak to będzie wyglądać do spódniczki, tylko jak daleko skoczą.

Bądźmy odważne! Nie bójmy się ryzykować i bądźmy dumne z siebie i z naszych osiągnięć. Nie umniejszajmy ich. Nie bagatelizujmy. Mówmy głośno i wyraźnie.

TAK, ZROBIĘ TO.

TAK, DAM RADE.

TAK, ZROBIŁAM TO!

4 BŁĘDY

Hania jest przebojową dziewczynką, a jednak bardzo wrażliwą i uczuciową. Strasznie przeżywa każdy popełniony błąd. Zamyka się w sobie lub strasznie się złości. Próbuje ją przekonać, że popełnianie błędów jest częścią procesu. Dzięki niemu możemy uczyć się nowych rzeczy, możemy się rozwijać. Nie popełnia błędów tylko ten, kto nic nie robi.

Przypomina mi się alegoria błędu, którą kiedyś opowiadała Karhryn Schulz. Kojot wszędzie biegał za Pędziwiatrem. W każdym odcinku było to samo. Kojot uganiał się za nim aż do momentu, kiedy ten zlatywał z klifu. A Kojot za nim. Nim spadł, biegł zawsze chwilę w powietrzu, gdyż nie był świadomy błędu. Nie widział przepaści pod sobą. Tkwił w przekonaniu, że jest na dobrej drodze. A potem upadał. Czasem wydaje mi się, że ja też pędzę w powietrzu przekonana, że podążam w odpowiednim kierunku. Boję się, że kiedy zdam sobie sprawę z własnej omyłki, spadnę i zaliczę bolesny upadek. Szukam prawdy, odpowiedzi na tysiące pytań kłębiących się w mojej głowie. Ale czasem brak mi odwagi, by spojrzeć w dół i zobaczyć wszystko z perspektywy.

Karol wyjechał na trzy dni do Warszawy. Wraz ze swoimi kumplami z firmy pracują nad projektem kompleksu sportowego. Pustka w domu wydaje się wyjątkowo dokuczliwa. Łatwo przyzwyczajam się do jego obecności. Polegam na niej. Nawet kiedy jest cichy i zamknięty w sobie. Jednak zazwyczaj charyzmatyczny i pełen

figlarności sprawia, że moje dni nabierają barwy i wyrazu. Rozśmiesza mnie, rozwesela Hanię. Napelnia nas obie pozytywną energią. Hania też za nim tęskni. Specjalnie spędzamy całe niedzielne popołudnie w kuchni, piekąc ulubione ciasteczka taty. Będą czekały, aż wróci. My też będziemy. Puste łóżko kiedyś nie było dla mnie problemem. Teraz budzi we mnie strach. Nie potrafię bez Karola spokojnie spać. Znow dręczą mnie koszmary. Tylko ich treść się zmieniła. Uciekam wąskimi uliczkami przed niebezpieczeństwem. Nie osobą czy zwierzęciem. Goni mnie cień, rozmyta czarna plama pełna grozy, niczym puszka Pandory. Biegnę i biegnę, szybciej i szybciej, aż brak mi tchu. Wbiegam do ślepej alejki i wpadam na wysoki mur. Nie mam drogi wyjścia. Odwracam się tyłem do muru i otwieram oczy. Nic innego mi nie pozostaje, jak zmierzyć się z moim prześladowcą. Wielki, ciemny cień. Zmora pełna strachów. Zazwyczaj w tym momencie się budzę. Nie tym razem. Ciemność przede mną zniknęła, a w jej miejsce pojawiła się postać. Osoba z błyszczącymi, błękitnymi oczami.

Wieczorem, korzystając z chwili, kiedy Karola rodzice, którzy wpadli z niezapowiedzianą wizytą z drugiego końca Polski, kładą Hanię do snu, zakładam trampki i z iPodem w kieszeni, wybiegam na mróz. *Dark Paradise*² rozbrzmiewa swoim melodyjnym i jakże dwuznacznym brzmieniem w moich uszach. Biegnę równo, a kolejne metry uciekają pod moimi stopami. Patrzę przed siebie i próbuję znaleźć w sobie spokój. Brak mi ostatnio wewnętrznej równowagi. Boję się cieszyć chwilami spokoju i radości, czując nad sobą nadciągające chmury. Wiem, że to, co czuję, jest irracjonalne, ale nie jestem w stanie wyzbyć się tego uczucia.

Jestem na ostatniej prostej przed naszym blokiem, *Get Up!*³ Korn dopinguje moje kolejne kroki, kiedy słyszę krzyk. Kątem oka widzę Czajkowskiego. Odwracam się i potykam o własne nogi. Upadam na ręce prosto w krzaki rosnące przy ścieżce.

- Nie chciałem Pani przestraszyć – mówi, nachylając się nade mną.

Podaje mi rękę. Jego dłonie są ciepłe, a on wygląda jak wykrojony na miarę. Czarna sportowa kurtka dokładnie przylega do jego ciała. Jasnoniebieskie Wranglery, bawełniana niebieska czapka i niezastąpione

² Lana Del Rey, *Dark Paradise*, płyta *Born to die*

³ Korn, *Get Up!* z płyty *The path of totality*

błękitno-białe tenisówki. Wszystko to podkreśla tylko jego wysportowaną sylwetkę i tajemniczy wyraz twarzy.

- Nic się nie stało. Biegając, jestem tak skupiona, że niewiele dostrzegam wokół siebie – mówię, wstając z ziemi, próbując ustać na własnych nogach. Błyskawicznie puszczam jego ciepłe, silne dłonie. Boli mnie łokieć, który przyjął cały ciężar mojego ciała przy upadku, ale ignoruje promieniejący ból.
- Biega Pani w taki ziąb? - pyta nonszalancko. Jego twarz rozświetla delikatny uśmiech, który tak rzadko widzę na co dzień.
- Bieganie mnie odpręża i pozwala w spokoju pomyśleć - odpowiadam bez namysłu, stając stabilnie na dwóch stopach, próbując wyrównać oddech.
- O czym tak Pani rozmyśla? - pyta.
- O wszystkim i o niczym - odpowiadam wymijająco. Gdyby tylko wiedział, że jest jednym z tematów, które muszę przemyśleć - A Pan co tu robi? - pytam, rozglądając się i wskazując na niego, teraz opartego o swoje czarne cacko, które połyskuje pod światłem latarni - Dorabia Pan sobie w weekendy? - pytam bez namysłu, próbując zażartować.
- Dorabia? - pyta z konsternacją w głosie.
- No, dorabia... - odpowiadam niewinnym skinieniem, wskazując latarnię.
- Może? - śmieje się delikatnie - A co, jest Pani zainteresowana? - odpowiada z tak typową dla siebie bezpośredniością.

Mam suszę w gardle, nie wiem, co powiedzieć, a moje serce zaczyna dudnić jak szalone. Chyba widzi moją konsternację, więc zmienia temat ratując mnie z opresji. Chciałam wyjść na luzacką, pewną siebie, a wyszłam na idiotkę.
- To co, ścigamy się do ulicy i z powrotem? – pyta, prostując się, rozcierając dłonie jedną o drugą.
- Żartuje Pan? Ja biegam świńskim truchtem, a nie na wyścigi - reaguję dość ostro, lekko przerażona jego propozycją. Nie chcę zrobić z siebie pośmiewiska.
- Wymięka Pani? - podpuszcza mnie, zaczynając swoją rozgrzewkę, podskakując w miejscu, mimo iż ja stawiam opór. Jest

przyzwyczajony do tego, że ludzie robią to, co chce. Ale ja nie mam już teraz wyjścia. Nie chcę pokazać, że się boję porażki.

- Nie wymiękam - odpowiadam spokojnie, opierając ciężar ciała na lekko wysuniętej prawej nodze, przybierając pozycję do startu. Patrzy na mnie z szerokim uśmiechem na twarzy. Jego oczy błyszczą niczym sople lodu w słońcu. Staje koło mnie i przybiera podobną pozycję.
- Trzy, dwa, jeden, start - nie zwlekając, odliczam. Chcę mieć to już za sobą.

Ruszamy. Daję z siebie wszystko, nie rozglądam się, nie szukam go wzrokiem. Skupiam się na drodze, na tym, by się nie przewrócić. Czuję, jak palą mnie łydki, płuca, które domagają się więcej tlenu i wyschnięte na wiór usta. Ignoruję wszystkie te uczucia. Spycham je na drugi plan i biegnę.

Gdy docieram do ulicy, zawracam momentalnie i ruszam z powrotem. Kątem oka widzę go gdzieś koło siebie. Ale nie mam pojęcia, czy jest za mną, czy przede mną. Po prostu biegnę. Kiedy staję koło jego auta, ledwo mogę oddychać. Jest mi słabo i jakoś miękko. Ale biorę parę głębokich wdechów i dopiero wtedy pozwalam sobie otworzyć oczy.

- Nie najgorzej – mówi, sapiąc równie głośno jak ja.
- Kto wygrał? -pytam, nie mając najmniejszego pojęcia, jaki jest wynik naszego małego wyścigu.
- Można powiedzieć, że nikt. Praktycznie równo dobiegliśmy.
- Poważnie? - pytam z niedowierzaniem.
- Poważnie - odpowiada, patrząc na mnie kątem oka, stojąc w pół rozkroku, opierając dłonie o kolana.
- Życzę w takim razie udanej nocy. Dobranoc - rzucam mu, ruszając swoim tempem do domu. Nie chcę zepsuć tego, iż jednak nie poniosłam totalnej porażki, wymyślając kolejną durną anegdotkę.
- Dobranoc.

Każdego dnia podejmujemy setki decyzji, często nieświadomie. Czasem brak w nas mocy, by tak definitywnie zdecydować, by postanowić - w tą albo w tamtą- nie można iść dwoma ścieżkami na raz. Żyjemy, nie jesteśmy bierni, i dobrze. Bo bierność to agonia. Przynajmniej dla mnie.

Każda podjęta decyzja wiąże się z wzięciem na siebie odpowiedzialności, bo decyzje, które podejmujemy dziś, budują naszą przyszłość. To, co mamy, kim jesteśmy, czego nam brak - wszystko to jest skutkiem decyzji podjętych w przeszłości, czasem lata temu.

Błędy, które popełniamy, są nieodłączną częścią naszej egzystencji. Ale bez nich nie byłoby postępu. Uczymy się na błędach, doskonalimy się, rośniemy w siłę. Ale czy zawsze? Jak mówi Jacek Walkiewicz w swoim inspirującym przemówieniu "Pełna Moc Możliwości", uczymy się na błędach, ale tylko wtedy, gdy wiemy, że je popełniamy. Samorefleksja. Wszystko jest ze sobą powiązane. Natomiast John Paul mówił, że „Jedynym błędem, który popełniamy jest ten, z którego się niczego nie nauczyliśmy.”

Wstajemy, mam nadzieję, z uśmiechem na ustach, gotowe zmierzyć się z kolejnymi wyzwaniem. Jesteśmy przecież fajterkami, także powinnyśmy wstać z przekonaniem, że to będzie niesamowity dzień i że ze wszystkim damy sobie radę, bo jak nie my, to kto?! Dzień bez wyzwań byłby nudny, choć czasem pragniemy na chwilę zatrzymać się, wziąć głęboki oddech i побыć same ze sobą. Bardzo często nie mamy takiej możliwości. Ale to nic. Ja wiem - jest strach, wstyd, obawa przed porażką.

Ale do jasnej cholery, co z tego! Wszystkie straszne rzeczy, które nam się przytrafiły i straszni ludzie, których napotkaliśmy na swojej drodze, obwiniamy za swoje niepowodzenia, za to, czego nam w życiu brakuje. Ale jak już tak musimy obwiniać, to obwiniamy za wszystko, z przekonaniem i z głębi serca. Bo niejednokrotnie te okropne doświadczenia i okropni ludzie sprawili, że staliśmy się tymi, kim jesteśmy dziś.

Skrzywdzili cię? Cierpiałas? Pewnie, że tak. Ale o czym myślisz dziś? Nie chcesz, żeby Twój bliscy cierpieli tak, jak i ty cierpiałas. Brakowało ci czegoś w dzieciństwie? Jedzenia? Spokoju? Poczucia bezpieczeństwa? Miłości? Teraz robisz wszystko, żeby zapewnić bliskim sobie osobom to co najlepsze. Mam rację?

Kobietki! Popełniamy błędy, ale z podniesioną głową! Przyznawajmy się do nich, bo to pierwszy krok do nyciągnięcia z nich nauki. Nie bójmy się porażki, bo jesteśmy skazane na świetność. Nie bójmy się spojrzeć w dół. Nie bójmy się powiedzieć przepraszam za błędy, które popełniłyśmy, bo to najszlachetniejsze i najpiękniejsze słowo na świecie. Przyznanie się do porażki to nie oznaka słabości, lecz siły. To pierwszy krok do wejścia na wyższy poziom. A w dwudziestym pierwszym wieku każdy jest jak smartphone i często wymaga upgradowania. Dajmy sobie szansę i zrobmy kolejny krok do przodu nie myśląc o tym, co może być źle.

Musisz wierzyć, że zrobisz to! Że odniesiesz sukces. Nasze myśli mają

ogromną moc i poddając się myślom o porażce chociażby w swojej głowie, skazujesz się na niepowodzenie. Wierz w siebie, wierz, że dasz radę, że jesteś wystarczająco dobra, wystarczająco silna, piękna i bystra. Bo jesteś.

Wszystko jest na wyciągnięcie twojej ręki. Musisz w to tylko uwierzyć całą sobą. Nic nie jest w stanie cię powstrzymać. I pamiętaj, każdą zmianę, jakiej chcesz w życiu, zacznij od siebie - i na sobie skończ. Inna ty, to inne życie.

5 KLÓTNIE

Sobotnie poranki są zazwyczaj moim ulubionym czasem wolnym. Cały dzień, ja i Hanka robimy zakupy, czy coś pichcimy w kuchni przy akompaniamencie piosenek dla dzieci. Nic tak nie podnosi na duchu jak Hanka skacząca po kuchni do *The wheels on the bus* albo *London Bridge*.

Jednak dzisiaj jest inaczej. Po okropnej kłótni z Karolem, która zaczęła się od czegoś tak blahego jak nieopróżniona zmywarka, po poważną dyskusję na temat ilości słodczy, jaką daje Hance, a skończywszy na tym, że jestem zimna i oschła, a on jest niegodny zaufania i leniwy, musiałam się ewakuować, dać sobie trochę czasu i przestrzeni, żeby ochłonąć i nie skakać sobie do gardel całe popołudnie. Nic z tego, co zostało powiedziane, nie jest nowością, ale też nie do końca wiadomo czy słowa, które z siebie wyrzucamy pod wpływem adrenaliny i tony negatywnych emocji, są szczere i prawdziwe. Kocham Karola, wiem, że on też kocha mnie, ale czasami czegoś nam brakuje. Wiem, że jego częste wyjazdy i moje zarwane nad pracą nocki nie sprzyjają naszemu małżeństwu. Ubieram Hankę w wyjściowe ciuchy, sama zakładam swoje najwygodniejsze džinsy, w których mój tyłek wygląda bardzo korzystnie oraz dopasowaną, różową bluzę. Zazwyczaj nie noszę różowych rzeczy, jednak to prezent od Karola, a ja chciałam mieć coś od niego na sobie.

Jadę do galerii. Nie mam nic konkretnego do kupienia, więc gdy zaraz po wejściu Hanka ciągnie mnie na plac zabaw, ulegam prawie natychmiast. Potem papierniczy, kawa, sok jabłkowy. Dopiero

piętnasta, tak więc szwendając się po sklepach kupujemy nowe kapcie do przedszkola, nową parę rękawiczek w przecenie, gdyż poprzednie, jak i te przed poprzednimi, zaginęły w tajemniczych okolicznościach i różaną pomadkę od Rimmel. Koło osiemnastej idziemy wrzucić coś na ruszt. Po kolacji w pizzerii, którą Hanka traktuje prawie jak obiad wigilijny z racji raczej rzadko odwiedzanych fast foodowni, idziemy do Empiku. Kiedy moja córka szuka nowej „Katastrofy”, ja szukam czegoś dla siebie w dziale z książkami obcojęzycznymi. Długo nie mogę się zdecydować, ale kiedy ruszam do działu z literaturą dziecięcą z *The Girl on the Train* pod pachą, stoję jak wryta na widok mojej córki rozmawiającej z jakimś facetem. Pierwotne osłupienie ustępuje, kiedy ruszam z prędkością światła w ich kierunku.

- Haniu, prosiłam cię, żebyś nie rozmawiała z nikim nieznanym – mówię, kiedy dochodzę do swojego dziecka i kucam przed nią, by widziała jak niezadowolona jestem z takiej sytuacji.
- Ale Pan mi się przedstawił i poprosił mnie o radę, a ja się znam na książkach, to mu doradziłam, co ma kupić - mówi dziecko przejęte moją przestraszoną miną, ale jednocześnie zupełnie nie zdające sobie sprawy z powagi sytuacji.
- Przepraszam - słyszę za sobą głos - ale Pani córka naprawdę starała się mi pomóc. Poza tym, pierwsze, co mi powiedziała, to właśnie to, że nie może ze mną rozmawiać.
- No właśnie, mamo, tak powiedziałam. A to jest Pan Damian i szuka książki dla swojej siostrzenicy - tłumaczy mi moja latorośl ale ja prawie jej nie słucham, gdyż widzę nad sobą twarz nieznanego-znajomego, z którym tak konwersowała. Damian Czajkowski akurat teraz, dzisiaj, postanowił wybrać się na zakupy i wpaść właśnie na moje dziecko w dziale literatury dla dzieci. Wygląda jak zwykle, perfekcyjnie. Gładka cera, nieskazitelne ubranie i włosy, zadbane dłonie i bielutkie zęby.
- A, przepraszam najmocniej. Nie widziałam, że to Pan - mówię totalnie zmieszana, ogłupiała i jakby z defektem. Szybko zastanawiam się jak wyglądam. Z prędkością światła analizuję moje ostatnie odbicie w lustrze. I to, co robię, wprawia mnie w większe osłupienie niż jego widok.
- Tak się akurat złożyło, że na siebie wpadliśmy, za co mnie parę razy

przeprosiła, po czym ja zapytałem, co ma za książkę. Moja siostrzenica faktycznie ma jutro urodziny i chciałem jej kupić coś do czytania, ale nie wiem, co się teraz czyta w takim wieku.

- A ile ma lat? - pytam, będąc jeszcze dość zamroczona całą sytuacją.
- Czternaście - odpowiada zupełnie innym tonem niż ten, który znam. Jest wyciszony, spokojny i nawet lekko uśmiechnięty.
- To w takim razie „Kaczka Katastrofa” nie jest najlepszym pomysłem - mówię z lekkim rozbawieniem, wyobrażając sobie jej minę na widok książki, której główna bohaterka nazywa się Katastrofa i jest do tego kaczka - A ta Pańska siostrzenica to lubi czytać? - pytam, starając się wybrać coś z tytułów, które mi akurat przychodzą do głowy z literatury młodzieżowej.
- Chyba niespecjalnie, ale dobrze by jej zrobiło, gdyby zaczęła - mówi z przekąsem.
- Niby nic na siłę, ale proszę jej kupić *Gwiazd Naszych Wina* albo *Niezgodną*. Z literatury młodzieżowej to chyba najlepsze, co może Pan wybrać, co nie jest dodatkowo napakowane seksem czy używkami. To dobre książki. - mówię spokojnie, patrząc mu w oczy, które wyjątkowo nie wpatrują się we mnie, a w moje dziecko.
- Dzięki. Tak zrobię - mówi nie odrywając wzroku od Hanki, która przegląda książeczki na regale za mną - jak na sześciolatkę ma Pani bardzo elokwentne dziecko. I do tego czytane.
- Dziękuję. Czytamy jej od urodzenia. Dzielimy się swoją pasją.
- Mamusi, ja już wybrałam, mogę iść do kasy? - pyta Hanka, ciągnąc mnie już za rękę w stronę kas.
- Tak, jasne. Już idziemy - mówię nie ruszając się z miejsca, z trudem opierając się jej sile - Miło było Pana spotkać. Do zobaczenia w poniedziałek.
- Cześć- odpowiada, a ja, nie czekając aż odejdzie, pozwalam mojemu dziecku zaciągnąć się do kasy.

Kiedy ruszamy nieśpiesznie do naszego auta, jest już kompletnie ciemno. Świąteczne dekoracje już zniknęły i budynek galerii wygląda jakoś bezbarwnie. Jest bardzo zimno, także wtulona w swój ciepły kołnierz, z rączką Hanki w jednej dłoni i siatkami w drugiej, szukam swojego średniowiecznego mercedesa. Ogromny parking jest nadal

prawie całkiem pełny. Staram się wyteńczyć wzrok i znaleźć miejsce, gdzie zaparkowałam, ale syjący śnieg i wiejący wiatr nie dają mi się skupić. I z tego wszystkiego zachodzę drogę jakiemuś kolesiowi, wpadam na niego i prawie wytrącam mu wszystkie siatki z rąk.

- Przepraszam, straszna ze mnie niezdara. Nie mogę znaleźć auta i ... - mówię ze wstydem i pokorą, kiedy poszkodowany przeze mnie wstaje i po raz kolejny dziś widzę jego twarz.
- Nic się nie stało, przeżyję. Ale mamy dzisiaj szczęście do siebie - mówi do mnie jakimś ironicznym tonem, którego nie mogę zrozumieć.
- Albo pecha - rzucam bez namysłu, po czym zdaję sobie sprawę, jak mogło to zabrzmieć i prostuję -Znaczy, Pan miał pecha - tłumaczę się.

Nic nie odpowiada, tylko się śmieje. Moje dziecko drepcze niecierpliwie po mojej lewej, ciągnąc mnie znacząco za rękę.

- Mamusiu, zimno mi. Możemy już iść? - pyta swoim słodkim, dziecięcym głosem.
- Wiesz, jaki jest najlepszy sposób na rozgrzanie się w taką pogodę? - pyta moje dziecko mój zazwyczaj poważny i niedostępny klient.
- Nie. Co? - pyta z ciekawością w głosie Hania, wpatrując się w pana Damiana.
- Duża porcja lodów. Mobilizują nasze ciało do wytwarzania ciepła - odpowiada, kucząc przy niej i wpatrując się w jej już teraz rozpromienioną buźkę.
- Mamo, zimno mi. Muszę zjeść loda! Albo dwa. Bo jest bardzo zimno!- mówi, patrząc na mnie przejęta.
- Czy dadzą się Panie zaprosić na porcje lodów? - pyta Czajkowski, wstając powoli, patrząc prosto w mój zszokowany wyraz twarzy.
- Hmm, jest Pan pewien? - pytam, a on tylko potwierdza skinieniem głowy.
- Mamo, możemy iść, prawda? Przecież nam się nigdzie nie śpieszy. Tak, mamo? - pyta Hania podskakując w miejscu. - Mama dzisiaj nie lubi taty i dlatego cały dzień spędziłyśmy w Galerii - dodaje, patrząc w jego kierunku.
- No to chodźmy - mówię pośpiesznie, starając się zbagatelizować jej

komentarz.

Zostawiamy zakupy w swoich samochodach i ruszamy w stronę lodziarni. Ustawiamy się w dość długiej kolejce. Hania przykleja się do szyby, zastanawiając się, na które lody ma ochotę.

Będzie długo myśleć, wiedząc, że nieprędko mnie namówi na taką rozpusztę. Dziwnie się czuję, stojąc tak blisko Czajkowskiego. Przestrzeń, która oddziela nas od siebie, kiedy razem pracujemy, daje mi poczucie bezpieczeństwa i dodaje pewności siebie. Teraz właściwie nie mogę mówić o jakiegokolwiek przestrzeni. Jak zawsze w weekendowy wieczór, galeria jest zatłoczona. W otaczającym nas hałasie zaczynam odczuwać niezręczną ciszę. Zastanawiam się, czy powinnam się odezwać, zacząć jakąś rozmowę. Patrzę na niego kątem oka. Jest zupełnie rozluźniony, a jego zazwyczaj poważną twarz rozświetla szeroki uśmiech, który skierowany jest, jak sędzę, do mojej córki.

- Jest bardzo do Pani podoba - mówi niespodziewanie, wyrывая mnie z wewnętrznych przemyśleń.
- Myśli Pan? Zdania są podzielone. Ale mnie się wydaje, że po mnie ma tylko kolor oczu.
- Zdecydowanie nie.
- Mamo, ile mogę wybrać smaków?
- Co powiesz na trzy i dużą ilość posypki? – pyta, kucając koło niej.
- Tak! - wykrzykuje moja rozentuzjasmowana córka.
- Rozpuszcza mi Pan dziecko – mówię, nie odrywając od niego wzroku. Nie mogę przestać na niego patrzeć. Sam fakt bycia tutaj, razem, w trójkę, jest wręcz surrealistyczny.
- No i? – odpowiada, rzucając mi spojrzenie, jednocześnie przyłapując mnie na tym, iż bezwstydnie na niego patrzę.
- To ja chcę waniliowe, śmietankowe i o smaku gumy balonowej. Mogę, mamo? - pyta Hanka wpatrując się we mnie swoimi wielkimi, piwnymi oczami.
- Tak, możesz. Ale pamiętaj, że tylko dziś wyjątkowo takie szaleństwo!
- mówię, próbując jej uświadomić, iż taki numer więcej nie przejdzie.
- A Pan jakie lubi? - Hania pyta Damiana, chcąc odwrócić moją uwagę.
- Czekoladowo - śmietankowe to moje ulubione – odpowiada, patrząc jej prosto w oczy. Cały czas się uśmiecha. Nie podejrzewałabym go

o takie podejście do dzieci. Jest otwarty i uśmiechnięty. Rozmawia z Hanią jak z koleżanką.

- A Pani? - pyta mnie.
- Ja dziękuję, wezmę tylko kawę – odpowiadam, starając się wytrzymać jego penetrujące spojrzenie.
- O nie, jak lody, to lody. Nie można samemu tak grzeszyć - mówi stanowczo, po czym wstaje i zamawia trzy duże porcje lodów. Ja jestem kompletnie rozwalona i jakbym na chwilę zapomniała, że umiem myśleć, bo stoję jak głupia z rozdziawioną paszczą, a w głowie rozbrzmiewa mi echem jego głos.

Kiedy przychodzi do płacenia, sięgam po portfel, ale on nie chce o tym słyszeć. Placi więc, po czym prowadzi nas do jedyne go wolnego stolika. Siadamy na przeciwko siebie a Hania siada koło niego, od razu zabierając się za swoją porcję.

- A skąd Pan zna mamusię? - moja latorośl pyta między kolejnymi chapsami lodów.
- Twoja mama pomaga mi zarabiać pieniądze- odpowiada jej spokojnym tonem, wyraźnie rozkoszując się chwilą.
- To pan jest taki stary i jeszcze sam nie umie? - pyta momentalnie, tak zupełnie prosto z mostu - Nawet ja już umiem.
- Haniu! Nieładnie tak wypytywać - reaguję przerażona jej komentarzem, który ledwo dosłyszałam, gdyż czuję się nieswojo i nie nie mogę pozbierać myśli.
- No jestem już stary i może umiem sam zarabiać, ale z pomocą twojej mamy mam większe możliwości.
- Wiem, że jest zdolna. Jest najmądrzejsza na całym świecie - odpowiada mu dumnie Hania - a Pan ma dzieci?
- Tak, mam trzech synów.
- A ile mają lat?
- Piętnaście, Siedemnaście i dziewiętnaście.
- To już są nastolatkami! - wykrzykuje Hania, wyraźnie pod wrażeniem wieku jego dzieci. Odkąd zaczęłyśmy czytać książkę o ludzkim ciele, jest zafascynowana dorastaniem.
- Tak, zdaje się, że tak – potwierdza, obdarowując ją szerokim uśmiechem.

Przez większość czasu nie biorę udziału w rozmowie. Moja córka ma tak wiernego słuchacza i rozmówcę, iż ja nie muszę odpowiadać na jej niekończące się pytania. Za to Damian musi jej szczegółowo opowiadać o tym, co robi, jak zarabia pieniądze i jakie słodczyce lubi najbardziej. Jest trochę zawiedziona, kiedy okazuje się, że nie lubi piłki nożnej, za to zachwycona faktem, iż ogląda kreskówki. Zadziwia mnie łatwość, z jaką rozmawiają i jego zaangażowanie w tę rozmowę. Nie wygląda na typa lubiącego spędzać czas z małymi dziećmi.

Mniej więcej pół godziny później, kiedy po lodach nie ma już śladu, z przerażeniem patrzę na telefon. Karol dzwonił już cztery razy. Nie będzie zadowolony kiedy usłyszy, dlaczego nas jeszcze nie ma w domu.

- My będziemy się już zbierać. Muszę położyć Hanię spać. Bardzo dziękujemy za deser i mile towarzystwo - mówię, zbierając się do wyjścia. Zakładam Hani kurtkę a resztę rzeczy biorę pod pachę.
- Nie ma problemu. Odprowadzę was do samochodu.

Kiedy stoimy już przy moim mercedesie, jest ciemno i strasznie zimno. Hania na pożegnanie, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, przytula Czajkowskiego przelotnie i mówi mu grzecznie dobranoc.

- Pójdzie Pan jeszcze z nami kiedyś na lody?
- Pewnie. Na razie, mała – mówi, kiwając do niej.
- Do widzenia. Do zobaczenia w poniedziałek – mówię, wyciągając do niego rękę.
- Do zobaczenia – odpowiada, ściskając delikatnie moją wyciągniętą dłoń, przytrzymując ją jakby chwilę dłużej, niż to konieczne.

W drodze do domu Hania śpiewa w kółko Jingle Bells, a ja śpiewam razem z nią. Nie myślałam, iż po takim poranku będę mieć tak dobry humor. Pewnie już niedługo, bo choć napisałam Karolowi esemesa, iż u nas wszystko ok i niedługo będziemy, to na pewno będzie miał jakieś pretensje.

W pędzie, w którym żyjemy, łatwo o materiały łatwopalne, które rozniecą w nas nie żar miłości, czy pożądania ale wściekłość, gniew, a nawet furję. Używamy tych jakże silnych i wymownych emocji, by ukryć to, czego się wciąż wstydzimy. Przyznanie się do tego, że cierpimy, że nas zabolalo to, co usłyszeliśmy, bądź co było nam uczynione, uznawane jest za oznakę słabości.

Boimy się naszej wrażliwości. Nie chcemy jej pokazywać światu. Wolimy